

Kronika tygodniowa.

Karnawał skończył się już nareszcie, z pod znaku pączka przechodząc w znak śledzia. Ponieważ jednak, dzięki zapewne wypadkom wojennym, wszystko obecnie dzieje się na opak, nie też dziwnego, że właśnie w karnawale sprzedawał magistrat śledzie, wobec czego należałoby przypuszczać, że w wielkim poście uraczy nas pączkami, o ile naturalnie nadejdzie obiecana waga, której nie mogliśmy dostać w styczniu. To jest przynajmniej pewnem, że właśnie w tym czasie będą pączki, ale na drzewach, bo to wiosna, choć z drugiej znów strony nie jest bynajmniej wykluczonem, iż ich nie będzie, jeżeli zima upomni się o swe prawa, ześle nam mróz i wysypie te zapasy śniegu, które, biorąc przykład z ludzi, gdzieś tam zmagazynowała przeznaczając je na „czarną godzinę“.

Ze względu na czas wielkopostny, przeznaczony na żałosne rozmyślenia i śpiewanie gorzkich żali, i kronikarz powinien być odpowiednio smutnie nastrojonym. Należało też z tego powodu oglądać się za odpowiedniejszymi duchowi czasu tematami do omawiania, a tych nam chyba nie brak, skoro nawet w karnawale nie byliśmy bynajmniej wcale karnawalowo nspokoieni. Przynajmniej większość, bo widocznie nie brakuje ludzi, którzy mieli ochotę sposobność i środki potemu, by się wesoło zabawić, skoro nawet krakowska policja widziała się zmuszoną zagrozić surowymi karami tym właścicielom lokali publicznych, którzy urządzają u siebie karnawalowe zabawy. Ponieważ zaś wydaje się u nas wszelkie rozporządzenia zazwyczaj już poniewczasie, więc trzeba przypuścić, że coś podobnego musiało mieć miejsce. Lepiej zaś zakazać coś późno, niż nigdy, zresztą oduśne przepisy mogą zupełnie spokojnie obowiązywać i w roku przyszłym, zwłaszcza, że nie zanoszą się wcale na to, by wojna miała się skończyć tak rychło, jak może życzyłby sobie ktoś, kto na wojnie interesu dotąd nie zrobił i zrobić go nie ma ochoty, a zwłaszcza sposobności. Mówię wyraźnie „zwłaszcza sposobności“, gdyż na ochotę nikomu nie zbywa, jak się o tem przekonałem z rozmowy z jednym „kupcem“, który ciągle narzeka, że nie zarobił dotąd tyle, ile mógłby być, gdyby nie ten paskudny strach przed świętym Michałem, wobec którego, choć innowierca, czuje prawdziwy respekt.

Gdyby mnie kto zapytał, skąd ciągnę tak paskudne horoskopy na przyszłość, odpowiedziałbym mu zaraz, iż choćby tylko z kontraktów, jakie rząd amerykański pozawierał we Francji z racji wynajmu kwater i tym podobnych rzeczy dla swej armii, znajdujących się już podobno na zachodnim froncie. Umowy te opiewają na czas pięcioletni, należy się więc spodziewać, że wojna potrwa jeszcze przynajmniej tak długo. Nieboszczyk lord Kitchener zapowiedział swojego czasu, że właściwego rozstrzygnięcia można się spodziewać dopiero za trzy lata. Ale on już nie żyje, a koalicja prawdopodobnie zmieniła w tym kierunku orientację, skoro wojna trwa już rok czwarty, a o ostatecznem rozstrzygnięciu niema ani mowy.

Już nam się zdawało, że dzięki bolszewikom rosyjskim i panu Trockiemu, pokój się zbliża, tymczasem powtarza się znów prawie to samo, co było przedtem z panem Wilsonem, który, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, z anioła pokoju zamienił się nagle w demona wojny. Stało się to pono z tego powodu, że wszyscy prezydenci bezpośrednio przed wyborami zmieniają swe zapatrywania i zasady, a pan Wilson w czasie wojennym znalazł się właśnie w tem krytycznem położeniu i znał za stosowne podlać kielbasę wyborczą wojennym sosem, daleko tańszym, choć mniej strawnym, niż pokojowy. Ale co pan Wilson, to nie pan Trocki. Temu ostatniemu nie grożą żadne wybory, gdyż komisarzem ludowym dla spraw zagranicznych sam się zamianował. Ciekawa więc rzecz, dlaczego tak kręci, iż z tego nawet jego galicyjscy współwyznawcy, którzy z jego powodów dotkliwie ponieśli straty, są najzupełniej niezadowoleni i, gdyby tylko mieli sposobność wyraziliby mu stanowczo *voilà* nieufności. Bo na ochotę im nie zbywa!...

Sam, bawiąc niedawno w sprawach handlowych (kupowałem sznurówki do trzewików...) na Kazimierzu, słyszałem z ust bardzo poważnych ntyskiwania i żale na owego polityka i życzenia pobożne by „kark złamał“. Gdy zapytałem o powód, otrzymałem taką odpowiedź:

— Nu! A pan dobrodziej wie, ile ja na tym Trockim straciłem?...

— Pan?... Na Trockim?... — ja mu na to. — Tego zupełnie nie rozumiem!... Czy pan z nim pozostawał w bezpośrednich stosunkach?

— Ja?... Broń Boże! — w tem miejscu oglądał się naokoło z trwogą, bo to teraz i ściany mają uszy — Ja z takim paskudnym bolszewikiem nie miałem

wspólnego i nie mieć nie chcę!... Ale jak on zaczął robić pokój i sam nawet pojechał do Brześcia, to ja sobie zaraz pomyślałem, że jest całkiem źle, a bojąc się, by nie było jeszcze gorzej, sprzedałem na łeb i na szyję moje towary i nie zarobiłem nawet połowę tego, ile mógłbym, gdybym był jeszcze trochę przeczekał!... I powiedz pan sam, czy się tak robić powinno, a zwłaszcza, czy powinien tak postępować człowiek od naszej wiary?...

— Tak, to prawda! — odparłem po namyśle. — Ale może on nie wiedział o tem, że pan jest w tym wypadku zaangażowany finansowo, a choćby zresztą i wiedział nawet, to przecież interes jednostki musi ustąpić na drugi plan, gdy rozchodzi się o ogół.

— Jednostki!... Jakiej jednostki?... — mówił dalej mój interlokutor, widocznie już nieco podniecony. — Tu nie wchodzi w grę żadne jednostki, ale cały nasz ogół! Ja panu coś powiem... Ten Trocki, to jest *kepela* i jeżeli on tak zrobił, to on z pewnością nie robił tego bez interesu.

Jednem słowem, wystąpienie Trockiego spotkało się z ogólnym potępieniem. Jedni biorą mu za złe, że od niego wyszła inicjatywa pokoju, a do tych należy właśnie ów ogólnie poważany obywatel z Kazimierza, ludzki zaś, a do tych i ja się zaliczam, są niezadowoleni, że nie doprowadził do skutku tego, co w początkach tak się pięknie zapowiadało i zaczynają przypuszczać, że może miał i rację ów kazimierski polityk-ekonomista, który orzekł, że Trocki „nie robił tego bez interesu“. Kwestya tylko, czy to był interes ogólny, to jest w danym wypadku bolszewików, chcących obecnie reprezentować całą Rosję, czy też osobisty pana Trockiego, a może kryjącej się za jego plecami koalicji, której mogło na tem zależeć, by zyskać na czasie i bodaj na chwilę odwrócić od siebie oczy całego świata. A trzeba pamiętać, że niema tak wysokiego muru, którego nie przełaziłby osłodził złotem obławowany. Gdy ruble nisko stoją, mogą swoje zrobić fanty szterlingów...

[[Zdaje się, że z tych rokowań brzeskich to będą nieś, chyba... że będzie inaczej, ale się na to bynajmniej nie zanosz. Tego zdania są nasi politycy, roztrząsający światowe kwestye u Wentzla, zupełnie tak samo zapatrują się na tę sprawę ich koledzy „z pod palmy“ i od Maurizia, różnice zaś zdań wyrównują „bajeczkarze łącznikowi“, kursujący stale pomiędzy tymi lokalami, a spełniający bardzo sprawnie funkcje telegrafu iskrowego. Z tego, a nie z innego źródła mają też swoje antentyczne informacje nasi wielcy politycy „robiący w tym fachu“ na seryo i piszący nawet na ten temat wstępne artykuły.

Sytuacja przedstawia się więc całkiem czarno, a każdy zwolennik pokoju czuje w swem sercu pustkę, straszniejszą nawet od tej, jaka się pokazała w naszej miejskiej kasie, dzięki panu Onyszkiewiczowi i ulepszonej kontroli czynników powołanych.

W pierwszej chwili miałem zamiar tej sprawy zupełnie nie poruszać, gdyż żal mi serdecznie naszej autonomii, narażonej ciągle na takie kłopoty i nieprzyjemności. A już pięta jej prawdziwie Achillesowa jest owa nieszczęsna kasa miejska, nie mająca stanowczo szczęścia do swych gospodarzy. Biedna ta nasza gmina, biedniejsza nawet niż gęś z placu Jabłonowskich, skubią ją bowiem wszyscy, nie tylko obcy ale i swoi, a z pośród tych ostatnich także i ci, którzy zawsze innym stawiani byli jako wzór, godny naśladowania i wzrastali stale w łasce u przełożonych i miłości u reszty ludzi. Dziś prosi się Boga, by też przypadkowo inni w ich ślady nie wchodzili, bo z całego magistratu nie pozostałby i kamień na kamieniu.

Pyta się jeden Krakowianin drugiego, kto winę w danym wypadku ponosi, a ten mu odpowiada, że oczywiście ten, kto zabrał, co nie był powinien, ale równocześnie opinia publiczna się odzywa, że widocznie w pałacu Wielopolskich nie dzieje się tak jak się dzieć powinno, skoro właśnie tutaj, a nie gdzie indziej, powtarzają się sporadycznie różne, nazwijmy je delikatnie... nieformalności.

A kasa miejska musi mieć stanowczo pecha, skoro za naszej tylko pamięci powtarza się w niej poważniejsza defraudacja już po raz trzeci. Suma sprze niewierzona rośnie też w stosunku prostym do rozwoju miasta i, gdy pierwotnie ograniczała się na kilku zaledwie tysiącach, w ostatnim (oby on był w samej rzeczy ostatni!) dosięgła, jak na stolicę przystało, kilkunast tysięcy.

W dawnych czasach, gdy Kraków był mały, gdy zatem i personalny urzędniczy był nieliczny, a manipulacja biurowa była nie tak udoskonaloną, jak dziś, można te mankamenty jakoś sobie wytłumaczyć, ale w obecnych stosunkach nie chce się nawet pomieścić w głowie, jak mogło się dopuścić do czegoś podobnego, już choćby tylko nie ze względu na stratę materialną, bo na tem znów ucierpią kieszenie ogółu, ale na moralne całej tej afery następstwa.

Z chwilą rozszerzenia się Krakowa powiększono, nawet pono ponad potrzebę, personalny urzędniczy, należałoby się więc spodziewać, że wszystko teraz pójdzie i ładnie i składnie, nieczem kółka w zegarku — Pokazało się przecie, że jest zupełnie inaczej, że ma chłina magistracka nie tylko źle funkcjonuje, ale, co ważniejsza, i śmiesz... i śmiesz...

Tyle jest w samym Krakowie różnych instytucji, które mają do czynienia z groszem publicznym, a w żadnej z nich nie było jeszcze aż trzech w stosunkowo nie tak długim okresie czasu „brzydkich wypadków“, choć wszędzie zajęci są nie aniołowie bynajmniej, ale ludzie z tej samej, co i magistraccy funkcjonariusze, gliny ulepiani, a przepisy, jak się kasę powinno prowadzić, są przecie wszędzie jednakie.

Gdzie więc szukać właściwego winowajcy?

I oto nasuwa się odpowiedź sama za siebie. Albo ci ludzie, którzy tutaj pracują, nie są odpowiednio dobrani, może u nich potrzebne kwalifikacje zastępuje tak popularna u nas protekcja, albo też nie respektuje się u nas należycie przepisów, bez których tak skomplikowany organizm musi tylko wydawać nieprzyjemne zgrzyty. Czy w danym wypadku miało się do czynienia z pierwszą alternatywą, czy z drugą, czyli też może z oboma, w to nie wchodzę, stwierdzam tylko z obowiązku kronikarskiego, że źle jest, skoro się stało, jak się stać nie było powinno.

Nasuwa się też i drugie pytanie, kto ma pokryć szkodę skutkiem tego wyniku. W pierwszym rzędzie byłby obowiązany do tego sam sprawca, jeżeli jednak, jak się to mówi „niema go na czem patrzeć“, gdyż to, co wziął, już dawno wydał, należy się dobrze zastanowić, by nie wynaleźć na chybił trafił jakiego niewinnego kozła ofiarnego... Miał może rację ten, co powiedział, iż pokrycie szkody powinno się zostawić moralnym jej sprawcom, to jest członkom różnych komisji kontrolujących, ale tak się nie stanie, gdyż tego ustawodawca nie przewidział. Ci więc panowie, choć na nich ze strachu ciernie skóra, mogą być dobrej myśli, nie im się złego nie stanie, nie tracą zapewne nawet i swych mandatów i długie jeszcze lata na swą chwałę i pożytek ogółu zasiadać będą w komisji kontrolującej, choć ich miejsce właściwe raczej w zespole „Braci śpiących“!...

Jak się jednak zdaje, skończy się na tem, że pokryje się niedobór (do niedoborów jesteśmy już tak przyzwyczajeni, jak do codziennego chleba...) nowo nałożymi dodatkami do podatków gminnych, czyli, że ogół zapłaci to, co wzięła jednostka. Będzie to pięknym objawem solidarności w naszym społeczeństwie, którego dewizą powinna być maksyma: „Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego“.

Ten napis należy też dla wiadomości potomnych umieścić i nad miejską kasą, choć życzyć miastu i samym sobie należy, by coś podobnego już się nie powtórzyło, konsekwentnie bowiem postępując, musiałby następca pana Onyszkiewicza zagarnąć miliony, a takiego ciosu nie wytrzymałby chyba żaden nawet jeszcze bardziej niż obecnie rozszerzonego Krakowa.

Znalazł się też pewien filantrop, który, chcąc połączyć piękne z pożytecznem, by był i wilk syty i owca cała, a wszystkim dała była sposobność w miarę zasobów przyczynienia się do załatwienia magistrackiej dziury, na ręce kronikarza nadesłał projekt załatwienia sprawy.

Radzi więc, jak następuje:

„Aby pokryć szkodę, wyrządzoną miastu przez defraudację Onyszkiewicza, należy:

1) sprzedać jego patenty, w jaki sposób uchronić okręty od zatonięcia na pełnem morzu;

2) podnieść ceny obiadów i kolacji w miejskich kuchniach obywatelskich, zmniejszając równocześnie wielkość porcji, a motywując zarządzenie coraz cięższymi warunkami;

3) podnieść opłatę za zwiedzanie podziemi Snkiennic i pawilonów betonowych, przeznaczonych dla publicznego użytku;

4) urządzić w najbliższym czasie dzień kwiatka.“ Projekt bardzo racjonalny, nie ulega też wątpliwości, że w danym wypadku wezmą go pod rozwagę sfery decydujące, choć może nie będzie to potrzebnem, gdyż zna, gdzie się ktoś, kto zatka dziurę w kasie i otrzeży komisji kontrolującej.

Mamy obecnie w Krakowie tylu milionerów (prawie codziennie poczet ich wzrasta o kilka pozycyji!), że łatwo stać się może, iż jeden z nich z gestem wielkopańskim sięgnie do kieszeni i zapyta:

— Ile potrzeba?...

A gdy się dowie, że tylko dwieście siedmdziesiąt ośm tysięcy i to nie guldenów, ale koron, wydmie wargi z pogardą i doda:

— To głupestwo!...

